DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok I. Poznań 20 maja, 1888 r. Nr. 15.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 złr. rocznie, 1 złr 25 cent. ćwierćrocznie, z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciciele, odbierający „Dom polski" w expedycyi, lub w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w expedycyi, ulica Podgórna nr. 8 — lub w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, I. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko expedycya, lub redakcya. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednolamowego. — Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcya.

WILLA ERLACH.

Powieść przez **Ossipa Schubina.**

Z języka niemieckiego tłomaczyła **A. P.**

(Ciąg dalszy.)

Rohritz, kręcąc wąsy, oznajmia z największym spokojem, że idzie sposobić gruby nieprzemakalny *water-proof*, a w kilka minut potem zajeżdżają przed pałac dwa ekwipaże, mające pomieścić gotowe do wycieczki osoby. Do ciężkiej „wiktoryi" zaprzężono parę leniwych, roboczych koni, do wolantu dwa młode, prawie nieujeżdżane koniki.

Wesołe usposobienie panuje w zebranem na ganku pałacu gronie. Głos Katty rozbrzmiewa tu i owdzie wydawaniem rozkazów. Stella pomaga rotmistrzowi w umieszczaniu zapasów żywności; Stazya z małym flakonikiem pod umalowanym nosem, w różowych obłokach muślinu kręci się bezczynnie, niecierpliwie oczekując chwili odjazdu. Udaje trochę cierpiącą, ale pomimo jednogłośnych namawiań całego towarzystwa nie można jej nakłonić do pozostania w domu.

Ostatnie rozkazy wydane; rotmistrz sadza Stellę obok siebie na koźle lekkiego wolantu, za nimi mieści się generał z rozpromienionym Freddym. Reszta towarzystwa lokuje się, jak może; baronowa i panna von Gurlichingen w głębi powozu, Katty i Rohritz na przedniem, obok siebie, siedzeniu. Upływa kilka minut, zanim dają znak do odjazdu; niespokojne pytania krzyżują się, czy nie zapomniano czego; służący, obarczony pledami, parasolami i lornetkami, nie może od razu usłużyć wszystkim. Nareszcie rotmistrz zaciął konie i wolant potoczył się szybko po równej, twardej drodze. Leniwe fornalki, smutnie powłócząc nogami, starają się, o ile możności, dogonić unoszący się przed niemi powozik. Śniadanie postanowiono spożyć u stóp znanej ruiny Reiersteinu; na obiad o godzinie szóstej postanowiono wrócić do domu.

Katty miała słuszność; pogoda zdaje się być ustaloną, to też nie omieszkuje po raz tysiączny wyszydzać ostrożności Rohritza:

— Nie trzeba nigdy sądzić, nie czekając końca, odpowiada tenże sentymentalnie; promienie słońca kłują niemiłosiernie, a to w każdym razie niedobrym jest znakiem.

— O! pan zawsze wszystko widzisz w nader czarnych kolorach, oburza się Katty gniewnie.

Ukłon był jedyną odpowiedzią Rohritza i nastąpiło ogólne milczenie. Pani Leskjewitz zajęta jest w duchu myślą, czy nie zapomniano o majonesie.

Stazya omdlewająca wącha co chwila zawartość flakonika, baronowa w myśli rozbiera jakąś kwestyą poglądową. Przerywa sobie nagle, żeby przekonać Rohritza o zbytniem rozmnażaniu się rodu ludzkiego, na co potakującą odbiera odpowiedź. Dowodzi patetycznym głosem, że małżeństwo jest zbrodnią, gdyż powiększa tylko nędzę ludzkości i twierdzi z zapałem, że ludzie wyższej klasy powinni unikać podobnego przestępstwa. Rohritz, znudzony uwagami, mówi coś o potrzebie wynalezienia jakiej bomby dynamitowej, którąby całą ziemię i niesympatycznych na niej ludzi w gruzach pogrzebała.

Tymczasem promienie słoneczne coraz gorącej odbijają się na liściem okrytych drzewach, na czystej wodzie wązkiego, tuż przy drodze płynącego strumyka. Żółte i czerwone kwiateczki, otaczające brzegi wody, ciekawie wychylają swe okrągłe główki; niebo tworzy jasną, błękitną zasłonę, świegot ptaków rozlega się wokoło. Naturalnie, że podobne piękności natury nie zwracają najmniejszej uwagi Rohritza i baronowej Meineck, tak pesymistycznie na wszystko patrzących. Droga prowadzi pod górę; leniwe, stare konie ledwo powłóczą nogami — nareszcie ustały zupełnie. Stazya z żółtej staje się prawie zieloną, na wpół nieprzytomna opada na poduszki powozu:

— Jestem bliską śmierci, szepce cicho, towarzysząc sobie ciężkiem westchnieniem.

Rohritz z podwójnym zamiarem ulżenia koniom ciężaru i usunięcia się od niemiłego sobie widoku panny von Gurlichingen, wysiada, aby pieszą, znacznie krótszą, dobrze sobie znaną drogą dojść do ruiny Reierstein.

ROZDZIAŁ XII.

Dzięki dobrej parze koni, rotmistrz, generał i Stella dawno już stanęli u celu. Konie i powóz umieszczone zostały wygodnie w oberży poblizkiej wsi, gdzieby również dobrze można zjeść śniadanie. Ale przecież punktem kulminacyjnym każdej majówki jest właśnie odgrzewanie zapasów przy dymiącym ogniu i spożywanie ich pod gołem

niebem w możliwie wygodnych postawach. Trzymając się tej zasady — Stella, Freddy i obadwaj panowie przenieśli przy pomocy najętego chłopaka koszyk z prowiantami do stóp starej ruiny, gdzie pod cieniem rozłożystego dębu spożyć je miano.

. Łączkę przerzynał wązki strumyk, podczas deszczu przybierający groźne rozmiary, teraz jednakże zupełnie bezpieczny.

Rotmistrz i generał poświęcają się zbieraniu suchego drzewa na ogień, a Freddy, skonstatowawszy, że strumyk zawierać musi raki, ściąga za pozwoleniem ojca pończochy i bóciki i za chwilę rozpromieniony biega po ślizgich kamieniach, pryskając naokoło wodą.

— Przyznaj się, że miałabyś wielką ochotę razem z Freddym łowić raki? pyta rozweselony rotmistrz, widząc tęschne spojrzenia Stelli, rzucane w stronę chłopca

— Przyznaję, odpowiada, kiwając poważnie główką. Ale czy to wypadałoby, stryju?

— Kogoż się tu masz żenować? Przecież nie mnie, co zaś do tego starca, mówi, zwracając się w stronę generała, on nic nie widzi.

Stella wybucha głośnym śmiechem.

— Och! ten mi jest zupełnie obojętny, ale... dodaje, rumieniąc się trochę, jeżeli drudzy nadjadą!

Więc to o Rohritza ci chodzi; no, jeżeli nie przeceniam siły tych koni, to przyciągną powóz zaledwie za godzinę, a ty tymczasem możesz ułowić kopę największych raków. Jak tylko zobaczę ich z daleka, zagwiżdżę na znak jeden z wojskowych marszów — wejdź więc do wody, tylko uważaj na kamienie, żeby nóg nie skaleczyć.

W dwie minuty później Stella z zawiniętemi rękawami, odsłaniającemi zręcznie utoczone białe jej ramiona, wchodzi do wody. Za chwilę staje obok Fredzia, chciwie wyciągając za zdobyczą ręce; nogi jej stąpają niepewno po ostrych kamieniach, lub toną w szlamistem błocie.

Szalone szczęście ludzi, biorących pierwszy raz karty do ręki, ogólnie jest znane. Stella ma ogromne powodzenie przy pierwszym połowie raków; coraz większe okazy wrzuca do trzymanego przez Fredzia koszyka. Kapelusz przeszkadzał jej, więc odrzuciła go na brzeg; włosy, lekko spięte grzebieniem, rozpuściły się w zapale walki, okrywając szyję złotemi promieniami, połyskującemi w blaskach słońca.

— Patrz, Freddy, takiego jeszcze nie masz, woła z tryumfem, trzymając ogromnego, zielonego raka, wysoko nad głową.

Wtem... wszystka krew uderza jej do głowy, oczy patrzą przed siebie z przestrachem, z bezwładnych rąk wypada przed chwilą schwytany rak, a zarazem i powstrzymywana suknia.

— Czy przeszkodziłem pani? pyta nadchodzący Rohritz, z uśmiechem obserwując jej pomieszanie.

Stella zawstydzona, nie patrząc przed siebie, biegnie do brzegu; nagle twarzyczka jej przybiera pełen cierpienia wyraz i woda około niej zabarwia się czerwono.

— Skaleczyłaś się pani w nogę, woła Rohritz, naprawdę zakłopotany, podając jej rękę i sadzając na nizkim pniu drzewa. Ogląda się wokoło, ale nie dostrzega ani rotmistrza, ani generała — a tymczasem krew coraz szybciej ulatuje z otwartej rany, plamiąc świeżą trawę.

— Nie można tego tak zostawić, mówi prawie z ojcowskiem współczuciem, maczając chustkę od nosa w wodzie.

Ale Stella z mocnym rumieńcem zakrywa zranioną nogę końcem, niestety! bardzo zbrudzonej sukienki.

— Bądź pani rozsądną, przemawia do niej poważnym głosem. Z takiemi rzeczami żartować nie można. Zresztą patrz pani na moje siwe włosy, a przyznasz, że mógłbym być twoim ojcem!

To mówiąc, pochyla się nad nią i obwięzuje ranę z wielką wprawą i zręcznością. Pomimo swych włosów, któremi się szczycił przed chwilą, musimy go zdradzić, że nieokreślone jakieś uczucie przejęło go, kiedy trzymał w ręku tę małą, chorą nóżkę; bo też to rzeczywiście śliczna była nóżka; wązka, delikatna, biała, a przytem tak drobniutka, że się cała ukryła w mękkiej jego dłoni.

Co jednak jeszcze ładniejsze jest od nóżki, to ta złotowłosa główka, której profil widzi wyraźnie, jak również i mocny rumieniec, rozlany po całej twarzy i szyi.

— Dziękuję panu, odpowiada krótko i oschle, chowając pod suknię opatrzoną nogę. W jakim pan właściwie jesteś wieku? pyta następnie, a duże jej oczy przybierają podejrzliwy wyraz.

Skończyłem trzydzieści siedm, odpowiada bez wahania, znając już te oryginalne z jej strony zapytania.

— Jak pan śmiesz w takim razie twierdzić, że mógłbyś być moim ojcem, jesteś przynajmniej o pięć lat za młody.... i dla czego przyszedłeś tu pan tak niespodziewanie?

— Chcąc koniom ulżyć ciężaru, wybrałem pieszą, znacznie krótszą drogę.

W tej chwili słychać wyraźnie rotmistrza, gwiżdżącego z poblizkiej łączki: „Boże, zachowaj nam cesarza,“ i turkot zbliżającego się powozu.

— Masz pan teraz, mówi Stella zawsze jeszcze gniewnie. Stryj obiecał ostrzedz mnie o zbliżaniu się reszty towarzystwa, bo naturalnie nikt nie mógł przewidzieć wcześniejszego pańskiego przybycia. O całe dwadzieścia minut przyszedłeś pan za prędko.

ROZDZIAŁ XIII.

— Dla wszystkich niedorzeczności, jakie ciągle popełniasz, nie można cię zostawić ani chwileczki samej. Była to jedyna uwaga, jaką baronowa zrobiła córce, dowiedziawszy się o powyższym wypadku.

— Biedna mama! jakże jest godną pożałowania — wzdycha ze współczuciem Stella. Stazya pomimo cierpień i blado-zielonej cery przymruża oczy i rzuca ciągle dwuznaczne spojrzenia w stronę Rohritza i Stelli. Dowiedziawszy się, że to Rohritz opatrzył skaleczoną nóżkę Stelli, zanosi się od głośnego śmiechu i w rozmowie nadaje mu stale tytuł „zręcznego chirurga.“ Można sobie wystawić jego zadowolenie z tych niesmacznych konceptów, któremi Stazya sama najwięcej się bawi.

Generał uśmiecha się ironicznie; baronowa siedzi zagniewana, tylko państwo Leskjewitz, zajęci wypakowywaniem zapasów i sprzeczką, że zapomniano korkociąga, nie zwracają uwagi na półsłówka Anastazyi i niezadowolenie baronowej. *Déjeuner sur l'herbe*, zaczęte pod tak niekorzystnemi warunkami, kończy się bardzo wesoło. Generał przypomina sobie szczęśliwie, że kieszonkowy jego nożyk opatrzony jest korkociągiem — i tym dowodem pamięci małżeństwo zupełnie pogodził. Raki, ugotowane na polnym ogniu, uchodzą za doskonałe; zimne kapłony i wątróbki gęsie nie pozostawiają nic do życzenia, majonesu nie zapomniano — usposobienie wszystkich wesołe.

O piątej zajeżdżają powozy i na zakończenie tego przyjemnego dnia wszyscy śpiewają chórem: „Balladę o księciu Eugeniuszu prawym i wiernym do śmierci.“ Uszczęśliwienie Fredzia nie ma granic, kiedy generał w braku głosu i słuchu muzykalnego wydzwaniał akompaniament trzonkiem noża na pokrywie blaszanej formy. Rohritz również nie bierze w śpiewie udziału, nie znając słów ballady. Całą swą uwagę zwraca na małą, ciemną chmurkę, która się właśnie zpoza gór na niebie ukazała.

— Barometr mój — odzywa się powoli — ale Katty przerywa mu niecierpliwie:

— Zaczynasz pan znów z tym nieznośnym barometrem; tego już doprawdy za nadto, mówi gniewnie.

W tej samej chwili silny wiatr, pędzący tumany piasku i liście, zerwane z drzewa, potwierdza słuszną uwagę Rohritza. Zdziwienie maluje się na wszystkich twarzach, kiedy mocniejszy powiew wiatru wywraca pękatą szampankę, tłukąc zarazem dwie szklanki.

— Już dosyć późno, a droga daleka; fornalki nie tak prędko nas do domu zaciągną, im prędzej się zabierzemy,

tem lepiej; proponuje Leskjewitz, rozglądając się niespokojnie dokoła.

Zaczyna się pospieszne pakowanie i umieszczanie przywiezionych rzeczy. Miejsca w zamkniętym powozie są przy niepewnej pogodzie wielce pożądane; generał, twierdząc, że kości jego wymagają oparcia, zajmuje poprzednie siedzenie Rohritza; Fredzia wielce skłonnego do zaziębienia lokują pomiędzy baronową a Stazyą ku wielkiemu jego niezadowoleniu. Stella, o którą się nikt nie troszczy, ubrana w gruby brązowy płaszczyk, siada odważnie na koźle faetonu; Rohritz zajmuje tylne siedzenie, a pan Leskjewitz pełni znowu funkcyą woźnicy. Powietrze jest parne, trudne do oddychania; z daleka słychać coraz wyraźniejszy odgłos grzmotu — ostatnie promienie słońca padają ukośnie, łudząc zażegnaniem burzy.

Stare fornalki z nienaturalną prawie szybkością zdążają za rączemi kucami, co prawdopodobnie jedynie brodatemu woźnicy zawdzięczyć można, smagającemu *con amore* po nieszczęśliwych ich karkach i grzbietach.

— Katty! woła Stazya z przestrachem

— Cóż się stało? pyta zdziwiona pani Leskjewitz, która, siedząc tyłem do koni, nic nie widzi, zadowolona jedynie z tej prędkiej jazdy.

— Spojrzyj na stangreta, obejrzyj się.

Katty ogląda się i widzi, że otyły, czerwony stangret kiwa się, jak wahadło zegara, na koźle. W tej chwili powóz uderza o kamień; Stazya krzyczy rozdzierającym głosem; Freddy budzi się i głośno płakać zaczyna; generał wyskakuje z powozu, wydziera pijanemu stangretowi cugle i — o ile mu na to jego siedmdziesięcioletnie płuca pozwalają — przywołuje na pomoc Leskjewitza, ale rotmistrz nie słyszy.

— Papo! Janie! panie Leskjewitz! krzyżuje się między sobą.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dla białego chleba.

Dwoje ich było na ziemi obszarze;
Ścieżka po łączki zielonym kobiercu
Światem ich całym, a szczęścia ołtarze
Jedno wznosiło dla drugiego w sercu.

Ścieżka wodziła pod jabłoń różową,
Z jabłoni kwiatek na skroń im upada;
Gdy przyjdzie wieczor, tam siedząc, rozmową
Jedno drugiemu wzajem odpowiada.

Codzień tak samo; codzień kwiatki sieją
Liściem po młodych przytulonej głowie;
Życie płynęło im jedną koleją:
Dzień cały w pracy, a wieczor w rozmowie.

Wtem do wsi przyszła wieść *z nowego świata*
O tych, co poszli w dal za białym chlebem.
Jan właśnie dzisiaj miał przysełać swata,
Wstrzymał się... poszedł, świat odtąd pogrzebem.

Na drodze, którą chodzili, dziś... ciernie;
Sercu dziewczęcia — zda się — już nie trzeba
Nic, oprócz wspomnień ukochanych wiernie
I nienawiści dla białego chleba.

Dla tego chleba, co nęci za morze,
Niejeden szczęście i spokój porzucił;
Niejedna targa i w przepaści łoże
Myśl o nim rzuca i nie chce, by wrócił.

Bo wróconemu chleb jej suchy, czarny
Zda się owocem, co pracy niegodny;
Żywot w swej ziemi wyda mu się marny,
Przy pełnej misie pozostanie głodny.

Różowa jabłoń kwiat uwiędły sieje...
W twardą opokę ot! zmienia się gleba.
A tam... świat obcy złamie tych nadzieje,
Co łamią szczęście dla białego chleba.

Marya Kierska.

WYSPA GOTLAND.

Obrazek z podróży

ułożył

hrabia Wawrzyniec Benzelstjerna Engeström.

I.

Hen za sine — sine morze! daleko w północ, na oświecone zorzami błękity *Bałtyku* was zaprowadzę, do pięknej i fantastycznej sterując krainy; — do dawnej, tu na północy, morza królowej, na wyspie *Gotland* i u stołecznego jej miasta *Wysby* wspomnieniami się zatrzymując. Znana z imienia wszystkim ta starej *Hansy* przemożna i bogata północnych kupców siedziba, ale zamglone jej i pyłem wieków okryte dzieje, a niemal w części już zapomniane — w fantastycznym tylko przedstawiają się obrazie.

Jak owa zapadła w głębiny morskie i zapomniana *Wineta* nasza słowiańska bajeczną niemal i poetyczną nam się przedstawia rusałką wspomnień dalekich — tak i kraik ten pływający, ze sterczącą na nim ruiną — z basztami połamanemi i kamiennemi zręby kościołów swoich, w dalekiem morzu odosobniony, zdaje nam się zaczarowanym gdzieś poematem — archeologiczną mogiłą — półsennem niemal widzeniem. Daleko! — daleko z morza widne już sine tajemniczego lądu kontury i jakby pływająca ukazuje się nam *Najada* — biała dziewica jeziora, w zielonym wieńcu i sinej szacie na modrej fali malowniczo się przedstawiając.

Bardzo oryginalnie rozsuwają się białe małego lądu brzegi, na niebieskim zawieszone obszarze. Cała wysepka, zarysowana w bieli, kredową ścianą w strome się ułożyła wybrzeża, zielonym gajem czoła ich uwieńczając; a całe te brzegi — fantastycznie porozcinane zęby i zręby niepoliczone, w których co chwila głębokie zatoki, niebieską wstęgą, jakby obraz majestatycznych portów, nam przedstawiają. Przypatrując się temu oryginalnemu widokowi, widzimy zrazu, że ten ląd osobliwy w odrębnej budowie i składzie swoim jest ciekawością geologiczną pierwszego rzędu, — a zaledwo rozbudził pod tym względem ciekawość i wyobraźnię naszę, w innym znowu obrazie nas dziwić i zastanawiać poczyna. Wiemy przecież, że zbliżamy się do maleńkiej wyspy, której całe niemal objąć możemy kontury, do wyspy, która na kilkunasto-milowej długości jedno tylko tam w górze posiada miasteczko małe, niewidne dotąd, — a cała 6,600 ludności zaledwie liczy; a jednak, gdy zbliżamy się do niej, kraik ten mały fantastycznie i zagadkowo tajemnicze nam jakieś okazuje obrazy. Cały ten ogródek północny, ta zielona wśród morskiej toni oaza najeżoną się być wydaje mnóstwem świątyń i wie-

życ majestatycznych. Jedne po drugich — a jedne piękniejsze od drugich wyrastają nam w oczach, te domy Boże — staroświeckie kościoły kamienne — wieżyce i mury, prastarych czasów drogocenne zabytki, bogatą skarbnicę archeologów nam odsłaniając.

Zanim więc spłyniem dalej, przypatrując się zwolna przesuwającym lądom, roztrząśniemy zagadkowego obrazu znaczenie, naturze i dziejom *Gotlandu* kilka poświęcając wyrazów.

Natura tej małej krainy morskiej jest przede wszystkiem zajmującym dla geologów przedmiotem. Jak cała skandynawska dziedzina, tak i to *serce skandynawskiego lądu*, jak nazywają *Gotlandyą* — początkowo obszernem morzem zalane, pierwotnie nie istniało wcale, na dnie się kryjąc tajemnem. Gdzieniegdzie z początku podwodne skały — koral wapieniem zalany i skamieniały — ostre iglice morskie — błędnych niepokoiły żeglarzy, pierś rozdzierając „*smoków*" wędrownych, prastarych łodzi, na których starodawne mityczne półbogi — *wikingi*, rybaki i zbóje morscy się rozbijali. Z czasem się kilka z pod wodnej toni wychyliło iglic szarawych; najwyższe to dzisiaj punkta skalne *Gotlandyi*, — i z roku na rok zwolna i tajemniczo utworzyły się wyspy — i rozrastając niepostrzeżenie, nowa wyrodziła się ziemia i rozszerzała szeroko, ubierając i strojąc się w kraik oryginalny i malowniczy, który na długie wieki zapanował i zakwitł bogactwem i sławą europejskiego rozgłosu, skarbnicą i gwiazdą północy się nazywając. Kraik ten malowniczy, co przetrwał burze i gromy świata — zgromadził skarby niepoliczone i nieprzebrane, zajaśniał blaskiem potęgi i sławy — zbudował grody i domy Boże — zaświecił łuną pożogi i w krwi się skąpał — a krwią zalany i zasypany popiołem — w proch się rozsypał — zapomnieniem osłonił i przespał wieki, aż znów się budzić poczyna; a mimo te wszystkie przemiany żyje i wyrasta z morza — podnosi się bezprzestannie, okolony srebrzystym wieńcem szumiącej piany, na niebieskich biegunach Bałtyku się kołysząc.

Gotlandya, wyrastając i rozszerzając się ciągle, nigdzie w całym obszarze swoim wulkaniczną siłą nie jest poprozrywana, spokojniej i jednoliciej w rozwoju swym przyrodniczym, aniżeli w rozwoju dziejów, się ukształciła. Cała więc wyspa przedstawia nam niemal jednolitą płaszczyznę wapienną w zasadzie, od południowej strony pokładem tylko piaskowca ubraną. Kraj to przeważnie płaski, od 120 do 155 stóp szwedzkich ponad morze jest podniesiony — miejscami wyjątkowo 200-tu sięgając. Maleńkie tylko wysepki brzeżne, kredowe iglice „*Karlsö*" (wyspy *Karola*) po za wysokość 250 kilku stóp wybiegają.

Wybrzeża fantastycznemi odmianami się ułożyły, zwolna opadają łagodnie, alboli hardą piersią w strome usta wiły się ściany — w tak zwane tutaj „*Landborgi*" (Ziemne grody) się rozkładając.

Wapienne te białe wybrzeża, te sine skały, które tak fantastycznie z morza się wychylają, wiecznie rozkołysaną falą parte i podmywane — wyrywając urwiste szczerby, rozrzucają białych okruchów tysiące — wyżłabiają głębokie groty i tajemnicze podziemia najdziwaczniejszego rodzaju.

Indziej znowu — wspomnianym już powyżej procesem natury — widzisz wyraźnie, że harde brzegi, morskie, kąpane niegdyś i rozrywane ściany od napastniczej wody się usunęły, że falę morską od tych dawnych *Landborgów* nowe nadbrzeżne oddzieliły lądy, któremi wzrosła i rozszerzyła się wyspa.

Przypatrując się tej formacyi geologicznej, powtarzającej się tutaj na każdym kroku — widzimy prawie na całem wybrzeżu poustawiane najnieregularniej chaotyczne niemal terasy, które wyraźnie nam zaznaczają peryody wzrostu i tworzenia się wyspy w powolnym jej rozwoju.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KORESPONDENCYA „DOMU POLSKIEGO."

Poznań, dnia 17 maja.

Spodziewaliśmy się wiosny, a tu naraz niespodzianie zawitało do nas lato. Termometr wykazuje 28 stopni ciepła w cieniu, wszyscy jednogłośnie uskarżają się na upał nieznośny.

Już co prawda, nie umiemy korzystać z pory letniej, którą słusznie poeci złotego naszego wieku nazwali najdroższym czasem. Zimą tulimy się wszyscy do pieca dla zimna i mrozu, a latem pozostajemy wpośród czterech naszych ścian dla tego, „że tu chłodniej, niż na wolnem powietrzu."

Najlepszym tego dowodem miejskie aleje i promenady. Żydów i Niemców podczas każdej pory roku tu spotkać można bez liku, lecz Polacy, a jeszcze więcej nasze nadobne Polki, unikają ich, jak ognia, mając niejako wrodzony wstręt do wszelkich dłuższych przechadzek. Żałuję mocno, że nie jestem z zawodu lekarzem i że zatem odmówić sobie muszę przyjemności przemówienia za przechadzkami, wycieczkami i majówkami co do ich nieocenionego znaczenia pod względem hygenicznym. Zresztą wyręczyli mnie w tej mierze już hygeniści wszystkich krajów, lecz mimo to nie zdołali przekonać naszych pań, ani nawet naszych panów.

Mimo całego jednak pesymizmu co do polskich przechadzek i majówek, przyznać winienem, że ostatniemi czasy zaszła i w tej mierze pewna zmiana na lepsze. Chociaż bowiem w wielu towarzystwach naszych panuje jeszcze pod tym względem wielkie uprzedzenie, to jednak znika ono po woli i ustępuje miejsca zasadzie wileńskich filaretów, filomatów i promienistych, którzy szczególnie ranne majówki zaliczyli do swego programu towarzyskiego. I tak czytamy w dorocznem, co dopiero publikowanem sprawozdaniu z czynności tutajszego towarzystwa „Stella," co następuje:

„Dla pielęgnowania życia towarzyskiego uczyniła „Stella" w roku minionym stosunkowo wiele, urządzając jednę zabawę i jednę wycieczkę podwodami do Kórnika. Prócz tego członkowie zwiedzali pieszo w mniejszych partyach okolice Poznania i dalsze; są to tak zwane wyprawy kawalerskie."

Miejmy nadzieję, że za przykładem „Stelli" pójdą i inne tutajsze towarzystwa i że sama „Stella" w oznaczonym kierunku większą jeszcze rozwinie czynność, niż dotychczas.

Przy wszystkich jednak przechadzkach i majówkach, wycieczkach i wyprawach w przednim rzędzie baczyć trzeba na to, ażeby nie miały wyłącznie charakteru zabaw towarzyskich. Przy pielęgnowaniu ciała nie trzeba zapominać o kształceniu ducha i to przede wszyskiem ducha narodowego.

Ważnym w tej mierze czynnikiem jest szczególnie pieśń, stworzona niejako na to, ażeby przy wtórowaniu ptaków niebieskich rozbrzmiewała po polach, łąkach, kniejach i gajach. Pieśń naszę polską wyparto ze szkoły, a zastąpiono ją śpiewem nam obcym będącym zabójczą trucizną dla ducha narodowego naszej młodzieży. Już sama zatem sprawiedliwość żąda, ażebyśmy wszędzie i na każdym kroku pielęgnowali pieśń polską, a szczególnie pieśni takie,

> Przy których dźwięku serce niewinne
> Zadrży nieznanem wzruszeniem;
> O starych czasach, o ludziach dawnych,
> Królach, hetmanach, rycerzach sławnych,
> Co śpią pod mogił kamieniem.

Że pieśń jest jednym z najlepszych pedagogów i że mianowicie należy do najsilniejszych podpór narodowości, o tem najlepiej przekonani są nasłani do nas pedagogowie niemieccy, którzy już w ochronkach pieśń polską zastąpili niemiecką i którzy z pomiędzy wszystkich przedmiotów naukowych najwięcej śpiew pielęgnują. Uczmy się

od naszych wrogów i walczmy tą samą bronią, co oni. Ostatecznie zwycięztwo przechylić się musi na naszę stronę, bo nietylko jest sprawiedliwość i odwieczna prawda, że słowik tylko po słowiczemu śpiewać winien, ale zbrodnią jest przeciwko naturze chcieć słowika zamienić w papugę.

Tych kilka uwag zdawało nam się tem więcej na czasie, że właśnie pora letnia szczególnie się nadaje do pielęgnowania śpiewu i że tak z miasta, jak z prowincyi nadchodzą smutne wiadomości, iż pierwotny zapał do prywatnej nauki dzieci poczyna gdzieniegdzie ostygać, a i że z drugiej strony nad zgermanizowaniem naszej dziatwy pracują coraz usilniej i systematyczniej. Przy takim stanie rzeczy każdy środek ratunkowy jest pożądany, a do środków najważniejszych, chociaż stosunkowo najmniej używanych, należy właśnie śpiew polski i pieśń polska, któremi najłatwiej ducha narodowego uszlachetnić, uświetnić i uwiecznić.

Do klęsk i strat, które z dniem każdym w coraz większej ilości się u nas mnożą, przybywa, niestety! także coraz większy ubytek sił, pracujących w wszystkich dziedzinach życia społecznego. Szczególniej w dziedzinie naukowej nastają coraz to większe pustki, a szereg uczonych, którymi się Wielkopolska jeszcze do niedawna szczyciła, co dzień to więcej szczupleje.

Naukowy świat W. Ks. Poznańskiego dotkliwą poniosł stratę przez śmierć ks. biskupa nominata, J a n a I g n a c e g o K o r y t k o w s k i e g o. Św. p. ks. dr. Korytkowski w dziedzinie naukowej czynny był wprawdzie prawie tylko jako historyk kościoła polskiego, ale co w tej mierze napisał, jest tak wielkie, że i świeccy historycy polscy do dzieł jego uciekać się są zniewoleni dla tego, że historya kościoła w Polsce ściśle jest złączona z historyą całego naszego narodu. Szczególnie zasłużył się św. p. ks Korytkowski napisaniem „Żywotów arcybiskupów i prymasów gnieźnieńskich,“ które to dzieło wprawdzie jeszcze nie wyszło w komplecie, ale wartość którego poznać można z częściowych publikacyi w tutajszych pismach peryodycznych. Dawniej już św. p. ks. Korytkowski ogłosił „Liber beneficiorum“ i „Żywoty kanoników i prałatów gnieźnieńskich,“ które mu także zjednały głośne imie wśród uczonych polskich.

Dodajmy do tego zasługi, położone przez św. p. ks. Korytkowskiego, jako dostojnika kościelnego, gorliwego obrońcy słowa Bożego i kochającego całem sercem cały naród polski obywatela, a przyznać będzie musiał każdy ze smutkiem, że strata jego dla nas jest niepowetowaną i że w dziedzinie, w której pracował, nikt go zastąpić nie może, któryby mu dorównywał wiedzą, gorliwością i miłością.

Mimo wszelkich jednakowoż strat w świecie naukowym, nie tracimy nadziei w lepszą przyszłość, a tymczasem, przyznać trzeba, czynimy wszystko, co tylko możliwem, ażeby zachować naszę godność narodową i w dziedzinie nauk wobec innych dzielnic naszego kraju.

Że także i W. Ks. Poznańskie nie zeszło jeszcze do rodzaju Beocyi, w którąby nas radzi zamienić nasi przeciwnicy, tego dowodem publikacye takie, jak tom XV Roczników „Towarzystwa przyjaciół nauk,“ jak „Zapiski archeologiczne,“ wydawane staraniem wydziału archeologicznego tegoż Towarzystwa, jak wreszcie liczne publikacye naukowe pułkownika p. E d m u n d a C a l l i e r a i t. p.

Ile zdziałać może chociaż w stosunkowo krótkim czasie mąż silnej woli i wielkiej pracy, tego najlepszym dowodem właśnie p. Edmund Callier. Pominąwszy jego nadzwyczaj grutowne i wyczerpujące prace w „Słowniku geograficznym królestwa polskiego,“ wydawanym w Warszawie pod redakcyą Br. Chlebowskiego i Wł. Walewskiego, gdzie mianowicie się zasłużył obszernym rysem rozwoju Polski pod względem historyczno-geograficznym, tudzież wyczerpującym artykułem o Poznaniu — wydał p. Callier w przeciągu dwóch lat ostatnich jeszcze cały szereg dzieł geograficzno-historycznych, że tylko wymienimy opisy powiatów kościańskiego, wałeckiego, nakielskiego, kaliskiego i obornickiego w XVI stuleciu, wydane w dwóch tomach „Szkice geograficzno-historyczne,“ „Powiat poznański pod względem dziejowym z zastosowaniem do topografii współczesnej“ i t. d.

Ostatniem dziełkiem p. E. Calliera jest praca p. t. „Wojny Bolesława Chrobrego z Henrykiem II pod względem geograficznym.“ Dziełko ostatnie jest tem ważniejsze, że pod wielu względami autor na epokę tę, jednę z najświetniejszych naszej historyi, rzuca zupełnie nowe światło, wyjaśnia wątpliwości dawniejszych historyków i prostuje błędne ich zapatrywania.

Daj nam, Boże, więcej takich pracowników, a z mniejszą troską patrzeć będziemy mogli w przyszłość, bo, jeśli każdy pracować będzie na swej niwie, całość złoży się sama przez się....

Żegota.

Woltyżerka.

Komedya w jednym akcie

przez

Emila Pohl'a.

OSOBY:

Baronówna Łucya Nietoch.
Baron Cezar Weding.
Engelhard Meiningshausen, właściciel dóbr.
Oton, kamerdyner barona Wedinga.

Rzecz dzieje się w salonie willi barona Wedinga.

Elegancki salon w willi barona Wedinga, w środku sceny niezbyt wielki, nader wykwintnie do kolacyi przysposobiony stół. Na prawo biórko. Główne wejście na lewo. W głębi sceny kredens. Rzecz dzieje się wieczorem. Salon oświetlony.

SCENA I.

OTON. CEZAR.

(*Oton przysposabia do wieczerzy stół, nakryty na dwie osoby. Cezar nadchodzi z prawej strony.*)

CEZAR

(*w ubiorze balowym, bez kapelusza i rękawiczek.*)

Czy wszystko w porządku?

OTON.

Do usług pana barona.

CEZAR.

Przejrzyjmy jeszcze raz cały plan z uwagą. Droga od szosy ku tej willi...

OTON.

Jest nie do przebycia. Franciszek wraz z ogrodnikiem wykopali głęboki dół, położyli przed nim dębową kłodę, tak, że każdy jadący drogą wóz musi wywrócić.

CEZAR.

Dobrze — dalej...

OTON.

Podług wszelkiego prawdopodobieństwa powóz wywróci się na prawą stronę, tam zaś ułożono siana na wysokość dwóch stóp, ażeby upadający miękko w niem legli.

CEZAR.

Azatem nikomu nie grozi niebezpieczeństwo.

OTON.

Wszystko pójdzie, jak po maśle.

CEZAR

(*zadowolony, zacierając ręce.*)

Doskonale! A teraz przypatrzmy się salonowi. (*Rozgląda się wokoło.*) Zasłony u okien spuszczone, firanki zasunięte, stół nakryty — na dwie osoby? Tego nie kazałem.

OTON.

Ja myślałem, że...

CEZAR.

Byłoby dobrze, żebyś wreszcie odzwyczaił się od tego myślenia.

OTON.

Sprobuję.

CEZAR.

Odstaw jedno nakrycie.

OTON

(*odstawia nakrycie na kredens.*)

Więc pan baron będzie jadł sam?

CEZAR.

Głupi jesteś, tępiejesz na wsi, czas, abyś wrócił do stolicy i odświeżył swój zmysł kombinacyjny.

OTON.

Dobrze, jestem głupi, do usług pana barona.

CEZAR.

A przytem ów ladaco robi taką poczciwą minę. Założyłbym się, że drżysz z ciekawości, aby się dowiedzieć, co to będzie.

OTON.

Pan baron wyrządzasz mi krzywdę. Wiedząc, że jaśnie pan jest odważny i samego dyabła się nie ulękniesz, gdy chodzi o wesołą awanturkę, po trochu wszystkiego się domyślam.

CEZAR.

Doprawdy, jestem ciekawy, mów.

OTON.

Mogęż się odważyć?

CEZAR.

Mów, co masz na sercu.

OTON.

Przyjedzie powóz.

CEZAR (*potakując.*)

Powóz.

OTON.

Przyjedzie z miasta.

CEZAR (*jak wyżej.*)

Z miasta.

OTON.

Z szosy skręci na naszę prywatną drogę. W skutek urządzonej przez nas przed bramą przeszkody powóz się wywróci i na miękkie siano...

CEZAR (*śmiejąc się.*)

Dotąd zupełnie dobrze. Dalej.

OTON.

Pan baron wybiega, wprowadza do salonu znajdujące się w powozie *„coś“* i odbiera podziękowanie za ratunek i uprzejme przyjęcie.

CEZAR.

Doskonale.

OTON.

Mamże znowu być głupim, czy kombinować dalej?

CEZAR.

Nie żenuj się. Widzisz, że jestem tyle grzeczny i nie przerywam ci.

OTON.

Zachodzi pytanie: k t o jest to „c o ś,“ znajdujące się w powozie. Mnie się zdaje, że zapewne nie będzie to żaden stary, gruby jegomość.

CEZAR.

Rzeczywiście?

OTON.

Ani też żaden m ł o d y c z ł o w i e k; wykluczam tu zupełnie płeć brzydką, jak niemniej stare kobiety. To „c o ś“ nie jest ani neutrum, ani masculinum, lecz femininum — jednem słowem: młoda dama.

CEZAR.

Wybornie, ha, ha, ha!

OTON.

Czy pan baron rozkaże, abym znów był głupim, albo kombinował dalej.

CEZAR.

Powinszować ci można twojej głupoty, mój chłopcze. Uważaj, a gdy nadejdzie stanowcza chwila.....

OTON.

Przywołam wybawcę i uprzejmego gospodarza. (*Wychodzi na lewo.*)

SCENA II.

CEZAR (*sam.*)

Dziwnie, jak dobrze zna nas nasza służba. Ów hultaj widzi rzeczy jasno, jak jaki spirytysta. (*Spogląda na zegarek.*) Jeszcze pół godziny — miejmy cierpliwość. Czy odważy się na tę awanturkę? — Dla czegoż nie? Excentryczność jest wybitnym rysem jéj usposobienia, lecz na excentryczych liczyć nie można. A gdyby też nie przyjechała? — Wprawdzie ułożyliśmy wszystko i mój plan szalenie ją bawił. — Ba, musi przyjechać. (*Wyjmuje zegarek.*) Jeszcze 28 i pół minuty. — Cała wieczność. Gdyby też kto umiał zabijać czas w pewnych razach.

SCENA III.

CEZAR, OTON (*z lewej strony*).

OTON.

Panie baronie. —

CEZAR.

Coż takiego?

OTON.

Pan Meiningshausen prosi.

CEZAR.

Engelhard? Czegoż chce? Powiedziałeś przecie, że mnie nie ma w domu.

OTON.

Tego nie...

CEZAR.

Mazgaj.

OTON.

Powiedziałem, że nie można mówić z panem baronem, że pan baron chory, że ma gości. Jednakże pan Meiningshausen odpowiedział: kłamiesz strasznie niezgrabnie, idź i oznajmij mnie.

CEZAR (*wzdychając.*)
Proś, niech wejdzie. Bardzo nie w porę. Jakżeż go się pozbędę.?

OTON.
Otoż sam jaśnie pan. (*odchodzi na lewo.*)

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Jak żywić niemowlęta i dzieci,

napisał

Dr. Józef Koszutski.

(Ciąg dalszy. — Zob. Nr. 14.)

Przyczyną ostateczną zsiadania się i warzenia mleka, nawet i w aparatach powyżej wymienionych gotowanego, podaje nam w wyczerpującej swej pracy Dr. Loeffler.*) Bakteryi w mleku dochodził i za ich rozwojem śledził już cały szereg autorów, począwszy od 1840 roku aż do dni ostatnich. Badano nietylko te bakterye i bacylle, czyli laseczniki, które się samodzielnie (spontan) do mleka dostały, ale i znane chorobotwórcze, które z innych chodowli umyślnie do mleka sterylizowanego zaszczepiono.

Z owych samodzielnych laseczników, będących zwykłym powodem ścinania się mleka, podaje nam G. Marpmann**) pięć, ściśle odróżniających się rodzajów — Hüppe zaś tylko cztery, ale za to z nadzwyczajną dokładnością, dotyczącą ich rozwoju, postaci, rozmiarów, barwy, a nawet i zapachu im właściwego. — Loeffler twierdzi, że to nie koniec na tem — bo w mleku istnieją jeszcze takie drobnowidzowe ustroje, które w sobie zawierają zarodniki (Sporen) niedające się przez gotowanie mleka przy (wspomnianej powyżej po kilkakroć) ciepłocie 110 Celsiusza zniszczyć — i odrastające po upływie pewnego czasu na nowo — a następnie pociągające za sobą znane nam opadanie sernika. Autor ten zaznacza także granice działalności pleśniawek (Schimmelpilze,) które dopiero w zsiadłem, lub zwarzonem mleku dla swego bytu przygotowane znajdują pole, same zaś nigdy zsiadania się mleka nie mogą być powodem.

Mleko, zatem, niestety! jest niejako przez przyrodę uposażonem do przyjmowania i rozwoju owych zorganizowanych i wszędzie w powietrzu obecnych zarodków.

To też skoro tylko ono, zwłaszcza podczas upałów letnich, na karmione niem niemowlęta i dzieci szkodliwie oddziaływać poczyna — i to nawet przy troskliwem gotowaniu, stosownem przechowaniu i prawidłowem podawaniu go tymże, natenczas powinniśmy zaprzestać dalszego jego użycia i zastąpić je odpowiednią wiekowi dzieci sztuczną pożywką, których wartość oznaczyć i jak najlepszy wybór z licznych na ten cel poleconych wyrobów ułatwić się postaramy.

W szeregu licznym sztucznych pożywek, dla niemowląt przeznaczonych, zajmuje poważne miejsce konserwa mleczna sposobem Edwarda Scherffa przyrządzona. Gotowanie jej odbywa się w Holsztynie na wielką skalę, a wyrób ten rozseła fabryka założona w „Domaine Stendorf,“ przy Schönwaldc w butelkach $^1/_4$ i $^1/_2$ litrowych jako t. n. „mleko od krów holsztyńskich.“ Nader pochlebny sąd o owym wyrobie napotykamy w pismach niemieckich „Daheim“ Nr. 3 i „Bazar“ Nr. 28 z 1887 r. Produkt ten spekulacyi podwójnej, bo wyzyskanie patentu Scherffa i krów z posiadłości holsztyńskich nie jest niczem innem, jak tylko mlekiem krów, którego pozbawiano znacznie przez wyparowanie wody i mikroorganizmów przez gwałtowne gotowanie następne w zamkniętych butelkach. Mleko to podobno przez całe dwa lata przechowywać się daje bez zmiany i posiada sernik, w żołądku niemowląt nader drobno się warzący, a przez to do owego z mleka niewieściego znacznie zbliżony. — Niemowlęta, które pokarmu żywicielki, lub mleka w zwykły sposób gotowanego nie znosiły — trawiły owę konserwę, nawet podczas dni skwarnego lata, zdaniem kilku lekarzy, bardzo dobrze. W sprawozdaniu swem urzędowem zapewnia Prof. Dr. Bockendahl w Kilonii i Dr. Wollny, iż owa konserwa wolną jest zupełnie od mikroorganizmów i zarodników. (absolute Keimfreiheit). Mleko to i dla dorosłych służyć może za śmietankę, którą jeszcze poprzednio wodą rozrzedzać trzeba. Cena dość jest przystępną, a przesełka odbywa się w pudłach od 4 do 40, lub od 6 do 50 butelek zawierających. Mleko to, w sposób powyższy metodą Scherffa przyrządzone dopiero klejkiem dla niemowląt, a wodą dla dzieci starszych rozrzedzić się powinno stosownie do wieku tych konsumentów. Wyznajemy otwarcie, iż płynu tego nie doświadczaliśmy dotąd jeszcze, przecież mamy doń pewne zaufanie i polecilibyśmy go mieszkańcom miast wielkich, rodzicom, lub opiekunom dzieci, mających odbyć dalekie podróże lądem, lub wodą, azatem osobom, niemogącym postarać się o dobre mleko, wolne od domieszek i naleciałości.

Konserwa holsztyńska, świeża i niepopsuta, stoi bezsprzecznie znacznie wyżej i budzi więcej zaufania, niż owo zgęszczone mleko szwajcarskie (condensirte Schweizermilch) lub mleko z Kempten w Bawaryi, wreszcie i mleko z t. n. Anglo-Swiss-Condensed-Milk-Company, Swiss Dairy Comp. Luzern i t. d.

Wyroby te szwajcarskie mają wielką wadę, bo zawierają za wiele cukru, co czyni je w krótkim czasie niestrawnemi; rozrzedzane zaś, lub rozczyniane wodą mogą tylko niemowlętom w pierwszych dniach służyć za pożywienie; dla starszych pokarm ten rozcieńczony nie wystarcza i poleconym być n i e p o w i n i e n.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) Ueber Bakterien in der Milch. Veröffentlichunge der Gesellschaft für Heilkunde in Berlin. Vorträge gehalten im Jahre 1887. Berlin 1888.

**) Ergänzungshafte zum Centralblatt für allgemeine Gesundheitspflege. Band 2. Heft 12. Seite 117.

Wiadomości literackie, naukowe, społeczne i rozmaitości.

Zapowiadanej przez pisma warszawskie „Historyi literatury polskiej“ M a r y a n a D u b i e c k i e g o ukazały się pierwsze zeszyty. Ma to być nowy podręcznik dla młodzieży szkolnej.

„Starożytna Polska pod względem historycznym, geograficznym i statystycznym,“ opisana przez M i c h a ł a B a l i ń s k i e g o i T y m o t e u s z a L i p i ń s k i e g o. (Wydanie drugie. Warszawa. Tomów cztery). Jest to znakomity przewodnik dla wszystkich wykształconych osób, odbywających wycieczki i czyniących poszukiwania historyczne po ojczystym kraju. Ponieważ obaj autorowie dzieła umarli, cenne to i pożyteczne w nowej szacie wydawnictwo uzupełnił nagromadzonym skrzętnie i starannie przez siebie materyałem p. F. K. M a r t y n o w k i, znany zaszczytnie na polu historycznem pracownik.

Komedyopisarz, hr. W ł a d y s ł a w K o z i e b r o d z k i, napisał nową komedyą p. t. „Reprezentant firmy Mülles et Comp.“ — a pp. A d o l f A b r a h a m o w i c z i Z y g m u n t P r z y b y l s k i ułożyli do spółki jednoaktówkę p. n. „Propinacya.“

„O koronę.“ broszura Konstantego Górskiego, zawiera opis bitwy pod Byczyną z dodatkiem dwóch map, które ułatwiają pogląd na szyki bojowe Jana Zamojskiego i arcyksięcia Maksymiliana.

„Kobiety dawnych salonów polskich“ Edwarda Jelinka. Jest to odbitka, stanowiąca osobne dziełko, złożone z artykułów, zamieszczanych w „Slovanskem Sborniku.“ Bohaterkami są wybitniejsze kobiety z dziejowej przeszłości naszej, jak Klaudya Potocka, Marya z Czartoryskich Wirtemberska, żona w. ks. Konstantego, księżna łowicka, i inne.

A. Lipiner przetłomaczył na język niemiecki i wydał w Lipsku „Dziady“ Mickiewicza p. t. „Todtenfeier“. Przedmowa obejmuje życiorys naszego wieszcza i skróconą treść poematu.

Władysław Mickiewicz opracował i wydał w języku francuzkim książkę p. t. „Adam Mickiewicz, sa vie et ses oeuvres.“

„Nowele“ Adolfa Dygasińskiego wyszły w Nowym-Sadzie w Serbii w tłomaczeniu serbskiem, dokonanem przez Rajkę, znanego już tłomacza „Jermoły“ J. I. Kraszewskiego.

Czasopismo „Zdrowie“ przeszło na własność spółki, złożonej z 23 osób, do których należą inżynierzy i budowniczy miejscy, inżynierzy kanalizacyi i wodociągów, kilku lekarzy i dwóch profesorów. Główne kierownictwo pisma pozostało przy dotychczasowym wydawcy i redaktorze dr. Polaku.

W Warszawie ma powstać nowe stowarzyszenie artystów-malarzy, rzeźbiarzy i innych pracowników na polu sztuki. Stowarzyszenie to ma otworzyć stałą wystawę rzeźb, obrazów, szkiców i w ogóle dzieł sztuki tak czystej, jako też zastosowanej do przemysłu; ma ono dalej urządzać tego rodzaju tymczasowe wystawy w miastach prowincyonalnych, a przez to ułatwić artystom zbyt ich utworów. Ostatecznym celem stowarzyszenia jest wzajemne popieranie działalności artystycznej spółki, która zawięzuje się na lat 10. Kapitał zakładowy spółki, wniesiony przez wspólników firmowych, pp. Józefa Pawłowskiego i K. Martynowskiego, wynosi 1450 rubli. Każdy członek spółki winien wnieść jednorazowo przynajmniej 25 rsb.

P. Anna Bilińska, utalentowana malarka-artystka, o której wspominaliśmy w zeszłym numerze „Domu,“ przyjętą została, jako członek honorowy, do towarzystwa młodzieży polskiej „Spójnia“ w Paryżu.

Panna Klementyna Wiśniewska, córka znakomitego pedagoga z Pesztu, otrzymała w ostatnim czasie pierwszą nagrodę w Sorbonie za doskonałe pod każdym względem opracowanie tematu; „O słynnym uczonym Pasteurze, oraz o jego wynalazkach“

Panna Morzkowska, córka p. Waleryi Marrené, kończąca studya uniwersyteckie w Genewie, miała tamże odczyt na temat: „O oświacie ludu“ w towarzystwie młodzieży polskiej, istniejącem w Genewie p. n. „Polonia.“

Królowa rumuńska otrzymała od akademii francuzkiej nagrodę trzech medali: złotego, srebrnego i bronzowego za swą pracę w języku francuzkim p. t. „Les pensées d'une reine.“

W początku przyszłego miesiąca najstarszy w wszechświecie uniwersytet boloński obchodzić będzie 800-ną rocznicę swego istnienia. Początek tego uniwersytetu sięga czasów Teodozyusza II, a właściwością jego było, że, jako profesorów, przyjmował także kobiety, które niejednokrotnie osięgały wysokie i zaszczytne stopnie naukowe. Między innemi na początku XVIII wieku doktoressa Laura Bassi miewała tu odczyty z matematyki i historyi naturalnej, a w nowszej epoce Klotylda Tambroni zajmowała katedrę literatury greckiej.

Wiadomem jest, że wielkiego powodzenia doznały w Anglii wyroby polskie, posłane do Glasgowa. Angielski tygodnik mód i literatury dla kobiet p. t. „The Queen“, w opisie tejże wystawy podaje między innemi: W Westminsterze, na wystawie wyrobów polskich, urządzonej za inicyatywą pani Giełgudowej, wiceprezesowej komitetu pań polskich, widzieliśmy koronki wspaniałe; hafty białe, wypukłe, lśniące, czysto narysowane; złote i srebrne delikatne tkaniny, mogące być ozdobą najwyszukańszych dworskich toalet. Kaftany góralskie, gdzie na baraniej skórze fantazya najróżniejsze wyszyła arabeski; kobierce i makaty, z których wiele posiada charakter i własności istotnych dzieł sztuki. — To też wyroby te budziły zasłużony podziw pań angielskich, z których wiele znaczne poczyniły zakupna. Między innemi baronowa Balsover zakupiła haftowane przez angielskie dziewczęta koszulki, a lady Kensington suknię, haftowaną złotemi i srebrnemi nićmi. Znany angielski malarz, p. Walter Crane, kupił kobierzec, na którym zielone i niebieskie barwy bardzo harmonijnie się zlewały.

Za wstawieniem się królowej włoskiej, znanej z szlachetności serca, dostojny jej małżonek, król Humbert, zamierza oddać duchownym polskim w Rzymie kościół św. Andrzeja na Kwirynale, należący do rodziny panującej, a zarazem powierzyć im straż grobu i celi św. Stanisława Kostki. Jest więc nadzieja, że znów odbywać się będą w odwiecznem mieście kazania polskie, zaniedbane zupełnie od czasu, gdy rząd francuzki odebrał Ojcom Zmartwychwstańcom kościół św. Klaudyusza. Za tak skutecznym rezultatem uwieńczone wstawienie się królowej przesłali jej w stolicy zamieszkali Polacy dziękczynny adres, licznemi opatrzony podpisami.

Promyki.

— Nigdy nie widzimy cię w złym humorze, mówił ktoś do osoby, żyjącej w bardzo przykrych stosunkach domowych, czy masz na przeciwności jaki balsam?

— Tak jest, na przeciwności od ludzi mam miłość, na przeciwności od wypadków mam modlitwę, a na każdą krwawą ranę myśl: Bóg tak chciał.

W nieszczęściu najmniejsza okoliczność staje się nowym powodem utrapienia, jak w szczęściu nową pobudką do radości.

Należy być grzecznym dla drugich u siebie, ponieważ dajemy gościnność; grzecznym u innych, ponieważ ją tam otrzymujemy.

Głównym sposobem zapewnienia szczęścia w małżeństwie dla mężczyzny jest, aby dla swej żony był równie miłym, jakim się stara być dla żon innych ludzi.

Zmysłowa miłość nie jest nigdy trwałą i prawdziwą miłością. — Tylko miłość, polegająca na uznaniu moralnych i duchowych zalet osoby ukochanej, miłość, umiejąca cierpienie znosić i wszystko poświęcić, jest miłością prawdziwą. — Miłość silnego, dzielnego człowieka nie cofa się przed żadną trudnością, przed żadnem niebezpieczeństwem, gdy chodzi o zdobycie, lub obronę ukochanej istoty.

(Krafft-Ebing)

Żmije, ogrzane ciepłem zacnego łona, kąsają najzjadliwiej.

(Kuryer pozn.)

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika poznańskiego.